

Paweł Sękowski:
Skończmy z dyktatem
kultu Jana Pawła II

Bartosz Józefiak:
Kierowcy z polskiej dżungli

Stephen Wertheim:
NATO nie powinno
przyjmować Ukrainy

**Niemiecka pacyfikacja
Michniowa**

MY...

NARÓD MIGRANTÓW



29

2023

MIĘDZYNARODOWY PLENEROWY FESTIWAL JAZZ NA STARÓWCE 1.07-26.08.2023



Warszawa, Rynek Starego Miasta, godz. 19.00
www.jazznastarowce.pl
facebook.com/festiwaljazznastarowce

Organizator

JAZZ ART
FUNDACJA



Partnerzy

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Urząd Miasta Starówce



zoxs

Centrum Kultury
Starówce



SOKO



SOKO



SOKO



SOKO



SOKO



SOKO

Partner Medias



SOKO



SOKO



SOKO



SOKO



Więcej prawdy nie zaszkodzi

Urlopy, a zwłaszcza miejsca, gdzie je spędzamy, więcej mówią o Polakach niż badania preferencji politycznych. Większości nie żyje się tak dobrze, jak próbuje to opisać władza, bo inflacja to bardzo realny problem. Za wydawane w czasie wakacji zaskórniaki możemy kupić o wiele mniej niż rok temu. A to żadnej władzy dobrze nie robi. Piszę o kłopotach większości, czyli tych od klasy średniej w dół. Tam o urlopach rozstrzyga głębokość kieszeni. Bilans większości rodzin kręci się wokół stanu ledwo ledwo.

Niestety, od ponad 30 lat nie udało się stworzyć systemu wakacyjnej oferty dla dzieci i młodzieży. Tak, by wakacje miały dla nich urok przygody. By były mądrym wypoczynkiem, nauką pozaszkolnych umiejętności i szansą na poznanie kraju. A nawet sąsiadów z Unii.

Skąd ta refleksja? Ano z widoku, który mamy za oknami redakcji na warszawskiej Pradze. Młodzież wędruje dla zabicia czasu po podwórkach i ulicach. Wiem, że samorządy próbują organizować dzieciom zajęcia na miejscu. Ale na wyjazdy nie mają środków. I tak przyszłość narodu, o której tyle się mówi, widzi, że czego jak czego, ale równego startu to państwo jej dziś nie gwarantuje. W przyszłości odegra się obojętnością. A może i wrogością wobec struktur państwa. Za dzisiejszą krótkowzroczność, egoizm, a pewnie i głupotę elit będziemy płacić coraz głębszymi podziałami społecznymi.

W Polsce Ludowej, choć biednej, bo zrujnowanej po wojnie i tworzącej miliony miejsc pracy dla ludzi wędrujących ze wsi do miast, jakoś udało się organizować masowe kolonie, obozy i wczasy pracownicze. Udało się przede wszystkim

dlatego, że takie działania były wpisane w fundamentalne obowiązki państwa.

Powszechna amnezja dopadła media pisowskie i tzw. mainstreamowe. Napisanie czegoś pozytywnego o PRL przekracza ich możliwości. Pal licha brak elementarnej uczciwości, ale skąd ta pogarda wobec czytelników czy widzów, którzy wiedzą, jakie były plusy i minusy minionego ustroju? Ciekawi mnie, jak się tym mediom żyje w świecie bredni, które z uporem powtarzają? W świecie Jacka Kurskiego i jego dewizy, że ciemny lud wszystko kupi.

Znalezienie beneficjentów minionego systemu nie jest trudne. Często wystarczy się rozejrzeć po własnej rodzinie. Łatwo też można trafić na kogoś z milionów ludzi, których wtedy tak porządnie wykształcono, że dobrze sobie radzą w nowym ustroju. W przeciwieństwie do tych, którzy dziś słono płacą za dyplomy wyższych szkół niczego.

A ile wtedy Polacy czytali! Najwybitniejsze dzieła literatury światowej i polskiej drukowano w setkach tysięcy egzemplarzy. I kupowano je, stojąc w kolejkach. Podobnie jak paletę pism poświęconych tylko kulturze. Oświata, edukacja, kultura – to te obszary życia PRL, które dzisiaj możemy tylko dobrze wspominać. Kto uczciwy, docenia ten dorobek.

Bardzo dziękuję za wszystkie dobre słowa i za wsparcie finansowe. Proszę o dalsze wpłaty na:

Fundacja Oratio Recta

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

z dopiskiem: „Darowizna na rzecz PRZEGLĄDU”

BAKOWSKI



e-prenumerata PRZEGLĄDU

Cały sierpień za 10 zł!

Czeka na Ciebie 5 e-wydań tygodnika

sklep.tygodnikprzeglad.pl

Kup miesięczną e-prenumeratę, nim skończy się promocja. Tylko do 1 września 2023 r.

Oferta ważna od nr. 31/2023

W NUMERZE

KRAJ

- 8 Prędkość zabija najczęściej**
– rozmowa z Bartoszem Józefakiem
- 11 Patriotyzm konsumencki**
– z czym się go je
Niepolskie polskie marki
- 14 Wilk w owczej skórze**
Jak prawica oszukuje w sprawie Unii
- 16 Walka o pomnik dłuta Dunikowskiego**
Zburzyć czy zrobić muzeum
- 18 My, naród migrantów**
Miliony Polaków też ruszają w świat

GLOBALNY PUNKT WIDZENIA

- 24 NATO nie powinno przyjmować Ukrainy**
– rozmowa ze Stephenem Wertheimem

HISTORIA

- 28 Symbol martyrologii wsi**
Zagłada Michniowa w 1943 r.
- 32 Kulisy wyboru Jaruzelskiego**
Bush chciał go na prezydenta RP

OPINIE

- 31 Jan Dutko**
Rady prezydenckiego doradcy
- 34 Paweł Sękowski**
Na czym polega problem z tym, że Jan Paweł II wiedział

KSIĄŻKA

- 38 Wiedział, z kim się żeni**
Koniec małżeństwa Andrycz i Cyrankiewicz

KULTURA

- 42 Kino po swojemu**
– rozmowa z Nataszą Parzymies
- 45 Culturalia**
- 66 Basquiat x Warhol**
Painting 4 Hands

PSYCHOLOGIA

- 46 Hejt? Nie czytaj komentarzy**
– rozmowa z Katarzyną Kucewicz

ZAGRANICA

- 50 Mafia, seks i honor**
Zemsta żon mafijnych bossów
- 53 Bacalhau – symbol Portugalii**
Wszyscy jedzą suszonego dorsza

OBSERWACJE

- 56 Świdermajer**
Unikat potrzebujący dbałości
- 58 Arterra – jak żyć razem**
Socjokracja w ekowioskach

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański**
Więcej prawdy nie zaszkodzi
- 23 Jan Widacki**
Rozważania o końcu wojny
- 27 Roman Kurkiewicz**
Zakazany śmiercionośny złom – ale „nasz”
- 41 Tomasz Jastrun**
Pożeracz sierot
- 49 Wojciech Kuczok**
Dobra robota

38

KSIĄŻKA



WIEDZIAŁ, Z KIM SIĘ ŻENI

Koniec małżeństwa Andrycz i Cyrankiewicz



46

PSYCHOLOGIA

HEJT? NIE CZYTAJ KOMENTARZY

– rozmowa
z Katarzyną Kucewicz

56

OBSERWACJE

ŚWIDERMAJER

Unikat
potrzebujący
dbałości



Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. SHUTTERSTOCK





✉ Drugie życie Polski Ludowej

Artykuł red. Roberta Walenciaka opisuje głuportę – bo inaczej tego nazwać nie można – znacznej większości postsolidarnościowej „elity”. Była też postsolidarnościowa mniejszość, jak związani z Unią Pracy prof. Karol Modzelewski czy Aleksander Małachowski. Im ideały, za które walczyli i siedzieli, w tym prawa człowieka, faktycznie były bliskie. Dobrą puentą tego artykułu byłyby słowa właśnie prof. Modzelewskiego: „Ja nie walczyłem o kapitalizm. Przesiedziałem osiem i pół roku, ale za kapitalizm nie zgodziłbym się siedzieć ani jednego dnia”. Jednak tego młodzieży w szkołach raczej nie przekażą...

Piotr Robecki

W artykule „Drugie życie Polski Ludowej” zabrakło mi wyraźnego odniesienia do problemu władzy. PRL była państwem totalitarnym, rządzonym w zasadzie przez jedną partię, PZPR, przy udziale dwóch w praktyce niemających wiele do powiedzenia partyjek – Polskiego Stronnictwa Ludowego i Stronnictwa Demokratycznego. Oficjalna opozycja nie istniała. Taki model sprawowania władzy usiłuje lansować właśnie Prawo i Sprawiedliwość. Czołową postacią w partiach komunistycznych był I sekretarz, który praktycznie o wszystkim decydował, ale nie ponosił za nic odpowiedzialności. Ten wzorzec odpowiada dość dokładnie roli prezesa Jarosława Kaczyńskiego.

Myślę, że w przypadku wygrania wyborów przez Zjednoczoną Prawicę takich i bardziej jaskrawych analogii będzie więcej. PiS już w tej chwili jawnie lansuje leninowską zasadę: władzy raz zdobytej oddać nie wolno.

Stanisław Kotelko

✉ Dryfowanie polskiej nauki

W 28. numerze PRZEGLĄDU prof. Jan Widacki zadał pytanie o stan polskiej nauki i jej miejsce w świecie oraz powody, dla których znajduje się ona w tym miejscu. Nie jestem pracownikiem uczelni, ale myślę, że bez problemu mogę odpowiedzieć na to pytanie.

Powodem, dla którego nauka w Polsce wygląda tak, jak wygląda, jest po pierwsze fakt, że w naszym kraju nie ma zainteresowania „ludzką myślą”. Nie powstają u nas żadne wynalazki, a co za tym idzie nie ma patentów lub licencji. Nie ma ich, ponieważ nie ma ich kto wymyślać, a nawet jeśli coś udaje się ulepszyć (np. metoda wytwarzania grafenu), sprzedaje się to za bezcen. I nie ma czemu się dziwić. W kraju, w którym na Polską Akademię Nauk przeznaczają się skromne 110,9 mln zł, a Kościół katolicki otrzymuje rocznie, bagatela, 20 mld zł (zgodnie z wyliczeniami zespołu dr. Andrzeja Polackiewiczza), nie mogą zaistnieć warunki do rozwoju nauki.

Po drugie, brak rodzimego przemysłu sprawia, że nie ma potrzeby kształcić inżynierów, bo gdzie oni będą pracować? Inne kraje, które mają dobrze rozwinięty przemysł, mają zapotrzebowanie na kadry, które ten przemysł usprawnią lub rozwiną. Natomiast kraj, który nie ma przemysłu, nie potrzebuje dobrze wyedukowanych kadr. A mrzonki o tym, jak to nasi studenci mieli wyjeżdżać za granicę, tam się kształcić i robić kariery, się nie sprawdziły i nie sprawdzą. Nie po to Niemcy czy Francuzi kształcą inżynierów, żeby zatrudniać Polaków.

K. Opic



ZDJĘCIE TYGODNIA



Lato rekordowych upałów. Strażniczki z Parku Narodowego Doliny Śmierci w Kalifornii pracują w ekstremalnych warunkach. 16 lipca 2023 r.

2,6 mld ludzi na świecie zmagają się z problemem otyłości lub nadwagi (raport Światowej Federacji Otyłości).

Za zorganizowaniem przed wyborami debaty liderów partii, które mają szansę znaleźć się w parlamencie, opowiada się **81% badanych** przez IBRIŚ dla „Rzeczpospolitej”.

18 czerwca 1923 r. urodził się **Szymon Szurmiej**, reżyser, aktor, twórca teatralny. Legendarny dyrektor Teatru Żydowskiego w Warszawie. Mąż Gołdy Tencer zmarł 16 lipca 2014 r., ale pamięć o nim jest ciągle żywa.

Ambasador RP w Gruzji został wezwany do tamtejszego MSZ, po tym jak w czasie badania byłego prezydenta Micheila Saakaszwilego jeden z polskich lekarzy ukrył w bucie próbkę krwi. Gruzini ostro zareagowali na oskarżenie o trucie Saakaszwilego, skandalisty z zarzutami kryminalnymi. Materiał wideo z butem polskiego lekarza wysłanego przez premiera Morawieckiego robi w Gruzji furorę.

Prokuratura Okręgowa w Warszawie, będąca pod szczególną opieką Zbigniewa Ziobry, odmówiła wszczęcia dochodzenia **w sprawie wycofania ze sprzedaży tygodnika „Nie”** w placówkach Poczty Polskiej i na stacjach Orlenu. Poczta Polska, która jest monopolistą w sprawie prenumeraty, wypowiedziała tygodnikowi tę możliwość. Kuriozalne restrykcje Poczty Polskiej również wobec PRZEGLĄDU zgłaszają nam czytelnicy z całego kraju.

Kolporter umocnił swoją pozycję lidera dystrybucji prasy w Polsce. Ma obecnie 58,74% udziałów w rynku i wyprzedza Ruch, który ma 13,72% udziałów (spadek o 7,8% w ciągu roku).

W 2021 r. **Lasy Państwowe** zatrudniały 25,5 tys. osób, z czego 93% na stanowiskach nierobotniczych. Urzędników na 1 tys. ha jest tam ponad dwa razy więcej niż średnio w Unii Europejskiej.

Katarzyna Kozłowska po czterech latach przestała kierować Springerowskim „Faktem”. Nakład tabloidu cały czas spada, bo coraz mniej jest chętnych na toporną nawalankę, która często kończy się procesami sądowymi. Pierwszym szefem „Faktu” był Grzegorz Janowski, prowadzący dziś ultraprawicowy program w Polsce.

Kolejna **wtopa ministra Adamczyka** to opóźnienie w rozbudowie drogi krajowej nr 61, czyli wylotówki z Warszawy na Mazury. Rozbudowa 4,5 km drogi od Legionowa do Zegrza przerosła możliwości organizacyjne pisowskiego wojewody oraz Generalnej Dyrekcji Dróg Krajowych i Autostrad.

Prezydent Sopotu nałożył na właściciela działki budowlanej **karę** w wysokości 214 tys. zł za celowe uszkodzenie na niej 39 drzew. Decyzja jest prawomocna.

Najwięcej książek wypożyczają mieszkańcy miast w województwach świętokrzyskim i wielkopolskim oraz wsi na Podlasiu i Podkarpaciu.

PRZEBŁYSKI

Tak to widzi Zwarycz

Marnuje się Wasyl Zwarycz na posadzie ambasadora Ukrainy w Polsce. Mógłby zrobić światową karierę, jeżdżąc z wykładami „Jak coś powiedzieć, ale tak, by nic nie powiedzieć”. Jako rekomendację może rozesłać swój tekst spłodzony na 80. rocznicę ludobójstwa OUN-UPA na Polakach z Wołynia i Małopolski Wschodniej: „11 lipca solidarnie z narodem polskim dziś oddaję hold wszystkim cywilnym ofiarom – obywatelom II RP, pomordowanym na okupowanych przez III Rzeszę terenach w latach II wojny światowej. Składam wyrazy współczucia wszystkim krewnym i bliskim ofiar”.

Może ten kuriozalny wpis Zwarycza ma zmobilizować Polaków do jeszcze większej pomocy finansowej i militarnej Ukrainie?



Piłka w objęciach PiS

Od przejęcia PZPN przez ludzi dojrzałej zmiany afery goni aferę. Ale czy ktoś słyszał, by głos zabrał Cezary Kulesza? Prezes PZPN nie jest mowny. Wiedza nie była mu potrzebna do handlowania płytami disco polo. A najlepiej czuje się w gronie ludzi z problemami. Tomasz Hajto jako zawodnik miał kłopoty z prawem. Czesław Michniewicz to legendarny (ponad 700 razy) rozmówca „Fryzjera”. Mirosław Stasiak – działacz skazany za korupcję, który poleciał z reprezentacją czarterem do Mołdawii. Do tego dochodzi ochroniarz kadry z białostockiego gangu. I tak dalej. A co prezes na to? Ani be, ani me, ani kukuryku. Takiego desantu PZPN w swojej przeszłości 100-letniej historii jeszcze nie doświadczył.

Jak długo Kulesza się utrzyma? Przecież pisowski parasol nie będzie wieczny. I nawet obecność szefa „Gazety Polskiej” Tomasza Sakiewicza w Komisji Medialnej PZPN mu nie pomoże.

Krynica-Zdrój z czarnym flamastrem

Podróże po Polsce dostarczają naszym czytelnikom mnóstwa niespodziewanych wrażeń, a oni dzielą się obserwacjami z naszą redakcją. Dostaliśmy zdjęcia z Krynicy-Zdroju. W tym pięknym kurorcie żyją ludzie oszczędni i nieufni. Do tego stopnia, że nie są jeszcze pewni, czy zmiana ustroju po 1989 r. jest trwała. Na wszelki wypadek koronę orła na godle domalowano czarnym flamastrem. W razie czego wystarczy wacik z rozpuszczalnikiem, by bezkosztowo wrócić do przeszłości.



Mastalerek tu i tam

Od pięciu lat Marcin Mastalerek jest wiceprezesem zarządu piłkarskiej spółki Ekstraklasa SA. Tłuste koty PiS są z nim w tej samej rodzinie. Na piłce zarabia się dobrze pod jednym warunkiem: trzeba mieć dojścia do władzy. A Mastalerek, który ma stały dostęp do ucha prezydenta Dudy, jest użyteczny. Jako były poseł PiS i dyrektor w Orleniu otwiera klubom piłkarskim drzwi do władzy. Interesy kwitną. Poziom naszej piłeczki – odwrotnie. Człowiek kluby są mile widziane w Europie. Chcą z nami grać w pucharach, bo przy Polakach nie trzeba do bardzo się spocić. Mastalerek odpowiada za „komunikację w zakresie public affairs oraz komunikację społeczno-wizerunkową”, czyli za nic konkretnego. Ma więc dużo czasu na knucie w Pałacu Prezydenckim. I opowiadanie megalomańskich dykteryjek o swoim znaczeniu. Choć na tle innych doradców Dudy, choćby Andrzeja Dery, może uchodzić za człowieka myślącego. Zwłaszcza o swoim luksusowym życiu.



PYTANIE TYGODNIA | Dlaczego tak lubimy czytać kryminały?

MARTA ZDANOWSKA,

literaturoznawczyni, Dom Literatury w Łodzi

Popularność kryminałów wynika przede wszystkim ze struktury narracyjnej. Czytelnik lubi mieć historię, w której są tajemnica, strach, zły i dobry bohater. Idealny bohater pozytywny nie powinien być jednak superbohaterem, lepiej, by miał jakieś słabości. Dlatego wielu śledczych w tych opowieściach, w tym coraz więcej kobiet, ma problemy z alkoholizmem, jest w spektrum autyzmu albo ma jakieś kłopoty rodzinne. Dostyc istotne jest to, że zazwyczaj kryminał prowadzi nas do konkretnego rozwiązania. Często pozytywnego. Mamy tajemnicę, mamy poszukiwanie jej rozwiązania, a wreszcie sukces, czyli rozwiązanie zagadki i fakt, że zło zostaje ukarane. A wina i kara to też dostyc istotny element w powieści kryminalnej. Kryminał jest baśnią à rebours dzisiejszych czasów.

JAN BIŃCZYCKI,

Tłusty Druk

W świecie pełnym entropii, niepokojących koincydencji oraz lęku i krzywd utwory, które pozwalają myśleć o nim jako o logicznej całości, stanowią pożądane dobro. Czytając kryminały, można na moment uwierzyć, że świat rządzi się żelaznymi, choć brutalnymi zasadami, a prawda i sprawiedliwość triumfuja. Na dodatek dają one przyjemność zaglądania za podszewkę świata, przeświatlenia ludzkich namiętności i motywacji. Kryminały

pozwalają też przeżywać i rozstrzygać dylematy etyczne przedstawione w atrakcyjnej, sensacyjnej formie. Dobrze skrojona powieść kryminalna potrafi również być wartościowym komentarzem do problemów społecznych czy zapisem ciekawych detali codzienności. I chyba każde z nas czuje więz z prowadzącymi śledztwo detektywami lub policjantkami. Protagonisci kryminałów są charyzmatyczni, a przy tym niepozbowieni wad – podziwiamy ich, a jednocześnie możemy się z nimi utożsamiać.

MONIKA FRĄCZAK-PAWLAK I KRZYSZTOF KILIJANEK,
wydawcy „Detektywa”

W miesięczniku „Detektyw” już od 36 lat publikujemy prawdziwe historie kryminalne, więc popularność tej tematyki nie jest dla nas zaskoczeniem. Dzięki kryminałom – szczególnie opartym na faktach – czytelnicy mogą zajrzeć w głąb umysłu przestępców. Im bardziej brutalny zbrodniarz, tym większa fascynacja nim. Tym bardziej że można go „poznać” z bezpiecznej odległości, siedząc w fotelu, wiedząc, że nie zrobi nam nic złego. A może w obsesji na punkcie przestępczości jest coś w rodzaju *schadenfreude* – czerpania przyjemności z kłopotów, jakich doświadczają inni ludzie? Bo w sumie to dobrze, że zło dotknęło kogoś innego, a nie nas. I, co najważniejsze, zło w kryminałach przegrywa z dobrem. Przestępcę zatrzymano, poniesie karę, tym samym zostało zaspokojone nasze poczucie sprawiedliwości.

Rozmawiał Kornel Wawrzyniak

Prędkość zabija najczęściej

Politycy z właściwie wszystkich ugrupowań pilnowali, aby kierowców nikt nie ruszał

Rozmawia Kornel Wawrzyniak

Mam wrażenie, że Polską rządzą partia kierowców.

– Na szczęście ta partia jest już trochę w odwrocie. Masz jednak rację. Politycy z właściwie wszystkich ugrupowań pilnowali, aby kierowców nikt nie ruszał. Weźmy prawo, które miało chronić pieszych na pasach. To nie jest nowy pomysł. Pierwszy taki projekt powstał już w 2014 r., czyli u schyłku rządów Platformy Obywatelskiej. Przygotowała go posłanka Beata Bublewicz z PO, która była przewodniczącą Zespołu Parlamentarnego ds. Bezpieczeństwa Ruchu Drogowego. Pani posłanka musiała być bardzo zdziwiona, kiedy projekt uwalił jej kolega z partii, senator Aleksander Pocię, który twierdził, że pierwszeństwo pieszych na pasach zakorkuje Warszawę do reszty. Ustawa wróciła potem do Sejmu, gdzie pogrzebali ją do reszty zarówno koalicjanci, czyli politycy PSL i PO, jak i prawie cały SLD oraz PiS (w zasadzie niemal cały parlament).

Bo z kierowcami nie warto zadzierać?

– Będąc politykiem, warto z nimi dobrze żyć. Platforma w 2015 r. skasowała samorządowe fotoradary, aby zyskać więcej punktów przed wyborami. Również PiS przez pierwszą kadencję nie przejmowało się bezpieczeństwem na drogach. Zajęło się nim dopiero niedawno, uchwalając kolejne przepisy. Inne partie też zaczęły o tym mówić. Platforma pokazała zresztą swoją hipokryzję, mówiąc, że od mandatów i karania skuteczniejsze będzie zapobieganie. A to ona dokonała rzezi fotoradarów, które w tej prewencji skutecznie pomagają.

Skąd ta zmiana o 180 stopni u polityków?

– Do partii dotarło, że dziś nie zbijają kapitału politycznego na popieraniu szybkiej i nieodwolonej jazdy. Jedyłą partią, która nadal identyfikuje się z interesami kierowców, jest Konfederacja. Myślę, że masa krytyczna rośnie w społeczeństwie już jakiś czas, jednak momentem przełomowym był wypadek na ulicy Sokratesa w Warszawie. W Polsce jesteśmy bardzo skupieni na dużych miastach, prawdopodobnie przez to, że tam są większe media i politycy. To skupienie widać dobrze na



BARTOSZ JÓZEFIAK

– absolwent Polskiej Szkoły Reportażu. Współpracuje m.in. z „Dużym Formatem”. Nominowany do Nagrody Grand Press i Nagrody „Newsweeka” im. Teresy Torańskiej. Autor książki „Wszystcy tak jeżdżą”, która ukazała się nakładem wydawnictwa Czarne.

przykładzie wypadku w Krakowie. Zginęły cztery osoby i o tym się mówi. O wypadku pod Sztumem, gdzie zginęły trzy osoby, nie wspomina prawie nikt, a było to w ten sam weekend.

Skoro wspomniałeś o Krakowie – żółte renault było przerobione pod wyścigi. Czy policja weźmie się wreszcie za nielegalne rajdy na ulicach miast?

– Oczywiście, że teraz się weźmie. Ale to będzie taka polska klasyka. Przez dwa tygodnie będzie ostro. Akcje, którymi policjanci uwielbiają się chwalić. Nazwą te działania jakoś medialnie, typu „stop piratom drogowym”. Ale mogę się z tobą założyć, że za najdalej trzy-cztery tygodnie nikt nie będzie pamiętał, ani w mediach, ani w policji, że ktoś wypowiadał piratom drogowym jakąś wojnę, i wszystko wróci do normy.

Dlaczego tak trudno działać sensownie?

– Znajduję dwa wyjaśnienia. Jedno jest takie, że trudno ukarać nocnych rajdowców. Zauważ, że kiedy robią takie spotkanie, to w wyścigu biorą udział dwa auta. Reszta, powiedzmy kilkadziesiąt aut, po prostu stoi za parkowana. Oni de facto nie łamią prawa, więc jak zorganizujesz obławę, to złapiesz góra cztery samochody. Reszcie może wystawisz trochę mandatów za drobiazgi. Z drugiej strony masa tych samochodów jest tak przerobiona, że policja mogłaby spokojnie odbierać dowody rejestracyjne. To jednak wymagałoby od niej sporej logistyki i regularnego wysiłku. Drugie wytłumaczenie jest bardziej psychologiczne. Organizatorzy wyścigów mówili mi, że policjanci ścigają się u nich po cywilu. A z rozmów z policjantami i tego, jakie są ich działania, wyciągnąłem taki wniosek, że policjanci lubią obwiniać pieszych. Polska policja nieproporcjonalnie dużo energii poświęca na edukowanie pieszych, a nieproporcjonalnie mało na edukowanie kierowców, co pokazał raport Najwyższej Izby Kontroli. Tymczasem wypadków spowodowanych przez pieszych jest zaledwie kilka procent.

Słabo są zorganizowani.

– Uważam, że ogromnym marnotrawstwem sił jest ustawianie patroli

z tzw. suszarkami. Taką robotę powinny wykonywać fotoradary. Ale już ustaliliśmy, że w samorządach je skasowano. Te siły powinno się przetrzymać do grupy Speed, która z dużym poświęceniem próbuje powstrzymać codziennych piratów drogowych panoszących się na polskich drogach. To by było lepsze spożytkowanie zasobów ludzkich, których i tak w tej formacji brakuje.

To jak wszyscy jeżdżą? Jaki jest polski styl jazdy?

– Jest szybki. Badania pokazują, że 85% kierowców przekracza prędkość przed pasami. Widać to również po statystykach wypadków. Myślę też, że nad Wisłą ludzie jeżdżą dość agresywnie. Chociaż tutaj trudno powiedzieć, na ile wszyscy jeżdżą agresywnie, a na ile ta najbardziej bojowa grupa, która niejako narzuca taki styl jazdy reszcie. Polacy nie przestrzegają przepisów i nie ufają znakom.

Po lekturze twojej książki wydaje się, że najgorsi są kierowcy drogowych aut, którym wydaje się, że mogą więcej.

– Psychologowie transportu, z którymi rozmawiałem, opowiadali, że do ich gabinetów przeważnie trafiają mężczyźni w szczycie aktywności zawodowej, między 25. a 40. rokiem życia, którzy dużo podróżują służbowo,

naturalne. Problemem stało się to, że każdy, kto kończy w Polsce 18 lat, od razu robi prawo jazdy.

Tylko jak żyć w Polsce bez samochodu?

– Brak komunikacji jest tutaj kluczowym problemem. Gdyby autobusy i pociągi były bardziej dostępne, część młodych osób nie potrzebowałaby samochodu.

Szczególnie jest to problem na prowincji. Przez część małych miejscowości przejeżdżają np. dwa autobusy dziennie.

– Problemem jest dziś nawet dojazd spod dużego miasta. W młodości mieszkałem w Pabianicach, to zaledwie 15 km pod Łodzią. Dojazd na studia PKS-em był traumatycznym doświadczeniem. Autobus albo nie przyjeżdżał, albo się psuł. W najlepszym wypadku się spóźniał. Po takiej szkole życia natychmiast zrobiłem prawo jazdy.

Najgorzej jest mieszkać w średnim mieście. Tam bez auta niczego nie załatwisz, bo jest za mało na sprawną komunikację i za duże, żeby przemieszczać się po nim na piechotę.

– Jest w tym sporo prawdy. Chociaż są wyjątki, jak Jaworzno, które opisuję w książce. Jest ono doskonałym przykładem, że możesz w mającym ok. 100 tys. mieszkańców

Wychowaliśmy się w drogowej dzungli i tak jeździmy.

są na prowizjach i działają w ciągłym pośpiechu. Ten stres wpływa na ich technikę jazdy. Z drugiej strony wiemy ze statystyk policyjnych, że bardzo niebezpieczni są młodzi kierowcy w wieku 18-25 lat. Tutaj rocznik i moc auta się nie liczą, chociaż zdarza się, że te tanie auta mają pod maską coś fajnego, bo młodzi sobie te auta sami przerabiają. Do tego dochodzi chęć zaimponowania rówieśnikom.

Na myśl przychodzi słowo brawura.

– Niestety, to jest taki wiek, że im głępszą rzecz zrobisz, tym fantastyczniejszy się sobie wydajesz. Każdy miał takiego kolegę, który opowiadał, jak to się ostatnio upił. Analogicznie jest z samochodem: ale szybko pojechałem! To wiek, w którym robi się różne głupoty i jest to zupełnie

mieście zorganizować dobrą komunikację publiczną. To kwestia pewnych priorytetów. Transport miejski jest generalnie drogą sprawą. Jednak w Polsce skupiono się na wyznacznikach luksusu w komunikacji zamiast na praktyczności. Zobacz, że wszędzie są biletomaty i elektroniczne tablice z rozkładem. Autobus zaś jeździ, owszem, najnowszy, ale dwa razy na godzinę. A mogłoby jeździć kilka starszych, ale co 10 minut. I miałbyś sprawną komunikację, a to byłby sukces. Tylko trudno, żeby w Polsce było inaczej, skoro od lat priorytetem jest budowa i poszerzanie dróg.

We „Wszyscy tak jeżdżą” opisujesz sporo drastycznych wypadków. Czy twój styl jazdy zmienił się podczas pisania książki?

– Tak. Szczególnie mój styl jazdy po mieście bardzo się zmienił. Po prostu jeżdżę 50 km/godz. i naprawdę nie czuję cię na potrzeby tej rozmowy. Kiedy rozmawiasz z matką, której dziecko zginęło na przejściu dla pieszych, zmienia ci się perspektywa. Odbyłem prawie 10 takich rozmów. Nie wszystkie weszły do książki. Ci ludzie już nigdy się nie pozbierają. O godz. 15.00 zapraszasz kogoś na obiad, a o 15.03 dzwonią, żebyś przyjechał odebrać zwłoki, bo był wypadek.

A jazda w trasie?

– Na drogach ekspresowych czy autostradach zdarza mi się nieznacznie przekraczać prędkość.

85% kierowców przekracza prędkość przed pasami.

Pytam o to z premedytacją, bo na własnej skórze doświadczyłem, że kiedy jedziesz bardzo przepisowo, zaczynasz padać ofiarą dziwnych, często agresywnych zachowań drogowych. Po prostu jak nie jedziesz minimum 10 km ponad dozwoloną prędkość, to jesteście frajer i trzeba ci to pokazać. I zaczynasz jechać szybciej, żeby nie oberwać.

– Psychologowie transportu tłumaczą to tym, że – po pierwsze – nie chcesz odstawać na drodze od reszty. Po drugie, nie chcesz stwarzać zagrożenia dla siebie czy dla innych. W skrócie: dostosowujemy się do kultury jazdy otoczenia. Pamiętam, jak jeździłem po Rumunii i nawet ciężarówka mnie wyprzedzała, bo tam jest jeszcze gorzej niż w Polsce. Kierowcy z Zachodu przeżywają zaś szok u nas. Nie są przyzwyczajeni do tak agresywnej jazdy, która dla nas jest oczywista, bo wychowaliśmy się w tej drogowej dżungli i tak jeździmy.

À propos dżungli – co na polskich drogach zabija najczęściej?

– Prędkość i jej konsekwencje. Po tem są potrącenia na pasach, które i tak są konsekwencją nadmiernej prędkości.

A dużo jest pijanych kierowców?

– Niedużo. Pijani kierowcy powodują 7% wszystkich wypadków i 9% wypadków śmiertelnych. Wydaje się, że nieproporcjonalnie dużo uwagi poświęca się pijanym kierowcom

w mediach. Głównie przez głośne przypadki zatrzymań pijanych celebrytów za kółkiem buduje się przekłamany obraz, że mamy na drogach dużo pijanych kierowców. Tym, co cieszy, jest fakt, że dziś nie ma już przyzwolenia społecznego na jazdę pod wpływem alkoholu.

Czy zmiana przepisów coś dała?

Uważam, że taryfikator powinien być uzależniony od zarobków, bo nadal nie jest dostatecznie dobrym straszakiem dla piratów.

– Co do zasady mógłbym z tobą się zgodzić. To logiczne rozwiązanie. Zapominasz jednak, że w Polsce jest wiele pomysłów na ukrywanie dochodów. Widać to chociażby

po alimenciarzach czy branżach działających w szarej strefie. W wielu miejscach nadal płaci się pod stołem i zarabia na czarno. Dlatego lepsza wydaje się z góry ustalona wysokość mandatów.

A co sprawi, że Polacy zdejmą nogę z gazu?

– Na pewno nie fiksowałbym się na wysokości mandatów. Można wlepić kary i po 1 mln zł, ale co to nam daje? Kiedy ostatnio miałeś kontrolę drogową?

Jakieś pięć lat temu.

– A ja dwa. I tu już widać, że nie mamy żadnej prewencji. Póki nie będziemy mieli więcej fotoradarów i nie zmienimy systemu, będziemy mieć problem. Niestety, historie o tym, że jak się będzie odpowiednio długo unikało odebrania mandatu, który przyszedł pocztą, to on wreszcie się przedawni, są prawdziwe. Główny Inspektorat Transportu Drogowego, który odpowiada dzisiaj za fotoradary, nie jest w stanie przerabiać nawet tej nikłej liczby mandatów, która do nich obecnie przychodzi. Tam po prostu pracuje za mało ludzi. Mamy tutaj zapas w systemie polskiego państwa. Jest jak ze wszystkim w tym kraju – ochrona zdrowia nie działa, edukacja prawie się rozpada. I tak samo jest z bezpieczeństwem na drogach. Polska musi zacząć płacić więcej urzędnikom i więcej ich zatrudniać. Zdaje sobie sprawę, że to

nie są popularne postulaty, ale innej drogi nie ma.

A co z edukacją? Może praca na rzecz ofiar wypadków?

– Nie wierzę w pokazywanie ludziom drastycznych scen z wypadków. Zresztą nie widziałem u moich rozmówców refleksji nad faktem, że kogoś zabili. Częściej płakali nad własnym losem niż nad swoimi ofiarami. Praca na rzecz ofiar nie dotknie też wszystkich, tylko tych, którzy już jakoś zawinili. To działanie post factum. Potrzeba nam rozwiązań infrastrukturalnych, które są w gruncie rzeczy proste i skuteczne. W mieście mowa o zwężaniu pasów, bo to zmusza do zwolnienia, i o tzw. wyniesionych skrzyżowaniach oraz przejściach, na których siłą rzeczy trzeba zwolnić. Poza miastem to niezbyt popularne w Polsce pasy dwa plus jeden. W Szwecji są nawet specjalne linki między pasami ruchu, tak że nawet gdyby kierowca chciał, i tak nie wyprzedzi. Ale to wymagałoby przebudowania kilku tysięcy kilometrów dróg.

Politykom pewnie to się nie opłaca, bo gdy zleca remont, dopiero kolejna ekipa go odbierze.

– To prawda, że w naszym kraju politycy nie działają perspektywicznie, aby zostawić coś swoim następcom. Z jednym wyjątkiem. Chodzi właśnie o budowę dróg. Zwróć uwagę, że najsprawniej działającą organizacją w Polsce jest Generalna Dyrekcja Dróg Krajowych i Autostrad. Kolejarzom nigdy nie udało się zbudować tak sprawnej instytucji. Kolejne ekipy przejmują nawet zatwierdzone przez wcześniejszą władzę projekty. Dlatego mogą nie być pewny, czy powstanie kiedyś Centralny Port Komunikacyjny, ale wiem, że będą budowane kolejne ekspresówki.

I tutaj koło się zamyka. Więcej dróg to więcej samochodów.

– Tak. To się ciągnie od 50 lat. Już Gierek wiedział, że potrzebujemy lepszych dróg i że w warstwie symbolicznej to będzie dla Polaków Zachód. I to myślenie nie zmieniło się do dzisiaj. Chcemy więcej dróg, bo nadal chcemy być bardziej zachodni. Szkoda, że chcemy to wyrażać akurat tylko w drogach.

Kornel Wawrzyniak

k.wawrzyniak@tygodnikprzeklad.pl

MY...

NARÓD MIGRANTÓW

W ciągu ostatniego stulecia miliony Polaków wyruszyły w świat w poszukiwaniu lepszego życia. Dlaczego dziś o tym nie pamiętamy?

Mateusz Mazzini

Przede wszystkim bieda, a zaraz po niej strach. Ledwo co odzyskana państwowość znów była zagrożona, wojna jeszcze na dobre nie opuściła domów i gospodarstw, a już pukająca do drzwi. Niektórzy zresztą z lękiem o przyszłość własnego narodu się oswoili, bo w nim wzrastali, spędzili całe życie. Te ziemie były areną mniejszych lub większych konfliktów od stuleci, a bezpośrednia przeszłość to życie pod butem obcych mocarstw. Zginąć można było w każdej chwili, w dodatku często walcząc w nieswojej armii. I to ubóstwo, które nieustannie zaglądało w oczy razem z głodem. Nawet wykształceni, lepiej sytuowani nie mieli tu czego szukać, brakowało szans rozwoju. Mieli plany, ambicje, chcieli je realizować w krajach wolnych, otwartych – te jednak często zamykały przed nimi granice. A nawet jak już wpuściły, stawiały bolesne ograniczenia: religijne, rasowe, etniczne. Z biurokratycznego punktu widzenia najłatwiej było uciec tam, gdzie sam z siebie jechać nie chciał prawie nikt, bo klimat niesprzyjający, a gospodarka słabo rozwinięta. Wielu zresztą tej podróży nie przeżyło albo ostatecznie osiedlili się nie tam, gdzie planowali. Mimo wszystko decyzji o opuszczeniu ojczyzny żałowali rzadko. Również dlatego, że nie mieli innego wyboru niż emigracja.

Powyższy opis celowo jest pozabawiony szczegółów – przez to

uniwersalizuje doświadczenie migracyjne. Mógłby dotyczyć Afgańczyków, Irakijczyków albo Banglijczyków próbujących przedostać się do Europy w ciągu ostatnich kilku czy kilkunastu lat. Mógłby opisywać losy gwatemalskich bądź nikaraguańskich matek, próbujących dotrzeć do krewnych mieszkających w Stanach Zjednoczonych. Mógłby też opowiadać o Polakach, których z ojczyzny od odzyskania niepodległości wyjechało co najmniej kilkanaście milionów. W różnych momentach, w różnych warunkach, w różne miejsca, ale prawie zawsze z tych samych przyczyn.

Wraca państwowość, nie wracają emigranci

Polacy jeszcze przed powrotem swojego państwa na mapę Europy stanowili znaczące odsetki społeczeństw, do których wyjeżdżali. Już pod koniec XIX w., jak wynika z danych Biblioteki Kongresu USA, za oceanem mieszkało 1,5 mln naszych rodaków. Ta emigracja miała dość specyficzny charakter. Jak zauważa prof. Wioleta Danilewicz z Uniwersytetu w Białymstoku, do Stanów Zjednoczonych wyjeżdżano głównie z powodów ekonomicznych i najczęściej pojedynczo. Docelowo większość Polaków myślała o sprowadzeniu rodzin, rzadziej – o zarobieniu odpowiedniej kwoty i powrocie do kraju, ale początkowa fala emigracyjna miała zdecydowanie bardziej pionierski charakter. Liczby te rosną w kolejnych latach – jak pisze

Dariusz Terlecki w książce „Po dolary i wolność. Śladami Polonii w Ameryce”, do 1910 r. za ocean wyjechało już 3,5 mln Polaków, mniej więcej po równo z trzech zaborów, trudno więc doszukiwać się politycznych pobudek różnicujących stosunek do obcych mocarstw. Potwierdza to raczej tezę, że jechali w świat, bo nigdzie nie czuli się u siebie, a Stany oferowały szanse, których w domu próżno było szukać, i przede wszystkim tytułową u Terleckiego wolność.

Potem przyszła niepodległość, ale exodus nie ustał. W kulturze popularnej opisującej tamte czasy dominują obrazy powrotów do ojczyzny, połączonych na nowo rodzin, ludzi wracających budować szklane domy nad Wisłą. Rzeczywistość była zgoła odmienna, bo jak wyliczyła w 1981 r. Halina Janowska, powołując się na dane zebrane w Roczniku Statystyki RP i Statystyki Pracy, bilans migracyjny Polski w 20-lecie międzywojennym był mocno ujemny. Z kraju wyjechało wtedy 2 mln osób, z czego 1,25 mln do Europy Zachodniej. Niecałe 800 tys. trafiło do USA, co może zastanawiać, zwłaszcza w zestawieniu ze znacznie wyższymi liczbami migrantów w poprzednich dekadach. Należy jednak w tym miejscu wspomnieć o zupełnie innym już, powojennym kontekście międzynarodowym. Stany Zjednoczone wprowadzają nową, znacznie bardziej restrykcyjną politykę migracyjną – jej ofiarami są szczególnie Azjaci, ale Europejczykom, zwłaszcza Słowianom, też trudniej o legalny pobyt.



Polska rodzina przy pracach polowych w amerykańskim Baltimore, Maryland 1906 r.

Ustawy antymigracyjne zza oceanu przywędrują zresztą niedługo później do Europy. Mocno inspirował się nimi Adolf Hitler, kreśląc plany segregacji rasowej w III Rzeszy, co skrupulatnie w „Czarnej ziemi” opisał amerykański historyk dziejów Europy Środkowej prof. Timothy Snyder.

Na powrót staje się ona tematem już w Polsce Ludowej. Wizja życia po drugiej stronie żelaznej kurtyny, na demokratycznym, kapitalistycznym Zachodzie była najczęstszym magnesem, aczkolwiek wielu wyjeżdżało, bo zwyczajnie musiało. Do tej drugiej kategorii należy chociażby

w ten sposób do Polaków żydowskiego pochodzenia mordowanych przez Sowietów. Wprowadzenie tej sztucznej kategorii narodowościowej ma na celu podkreślenie w zawołany sposób tego, co jest podstawą polityki historycznej polskiej prawicy – że nie da się być Polakiem i Żydem jednocześnie, dlatego takie osoby trzeba wepchnąć w inne, niezwiązane z polską wspólnotą narodową ramy.

Już pod koniec XIX w. w USA mieszkało 1,5 mln naszych rodaków. Wyjeżdżano głównie z powodów ekonomicznych i najczęściej pojedynczo.

Powrotów było sporo, ale mniej niż wyjazdów. Z innych krajów Starego Kontynentu do Rzeczypospolitej wróciło mniej więcej 1 mln osób, z USA – 48 tys., ocenia Halina Janowska. Krótko mówiąc, chociaż Polska zyskała państwowość, straciła 1 mln swoich obywateli.

Emigracja roku '68 i lat 70.

II wojna światowa to okres przymusowych przesiedleń, wywózek i innych form prześladowań wymuszających zmianę miejsca pobytu, dlatego o dobrowolnej migracji trudno w tym kontekście mówić.

15 tys. Polaków żydowskiego pochodzenia, którzy wyjechali z kraju w latach 1968-1971 w wyniku antysemitkiej nagonki. To stwierdzenie budzić będzie kontrowersje, bo dla wielu polityków, historyków i socjologów, szczególnie będących w służbie obecnego rządu Zjednoczonej Prawicy, ludzi tych nie powinno się klasyfikować jako Polaków. Dość wspomnieć, że w 2018 r., podczas wykładu na Uniwersytecie Warszawskim z okazji 50. rocznicy wydarzeń Marca '68, ówczesny wicepremier, dziś szef rządu Mateusz Morawiecki użył sformułowania „przedstawiciele narodu Żydów Polskich”. Odniósł się

Ludzi tych zmuszono do emigracji z PRL, ich kraju, i jest to fakt, a nie opinia. Ilu ich było dokładnie – tutaj dane są bardzo różne, wręcz niespójne. Encyklopedia PWN podaje liczbę „1,5 mln Polaków i Żydów”, którzy wrócili do kraju w latach 1944-1948, plus 200 tys. osób w latach 1955-1957. Natomiast w okresie od przemian 1956 r. aż do powstania Solidarności według tego samego źródła PRL opuściło 800 tys. obywateli. Stowarzyszenie Wspólnota Polska mówi z kolei o 1 mln polskich emigrantów w latach 1950-1989. Ta liczba wydaje się jednak mocno zaniżona, bo według dr Magdaleny Wnuk z Instytutu Badań Literackich Polskiej Akademii Nauk tylko w latach 1981-1989 z kraju wyjechało 1,3 mln osób (niektórzy mówią nawet o 2 mln).

▶ Z precyzyjnymi ustaleniami są spore problemy, bo – zupełnie jak po I wojnie światowej – w czasach zimnej wojny radykalnie zmieniał się krajobraz polityczny. Trudno np. dokładnie wskazać, ilu Polaków wyjechało z PRL do Niemiec. Szacunki mówią o 250 tys., niektóre nawet o 560 tys. O właściwą liczbę niełatwo, ponieważ wiele osób miało niemieckie paszporty i za granicę wyjeżdżało nie tylko legalnie, ale też wielokrotnie – a nawet jeśli ostatecznie decydowało się pozostać na Zachodzie, nie wymeldowywało się ze swojego polskiego adresu.

Pierwsze dekady to wyjazdy motywowane raczej ideologicznie, napędzane rozczarowaniem po przejściu władzy przez PZPR. Im później, tym więcej wyjazdów w celach zarobkowych. Widać to zwłaszcza po 1970 r.,

1,3 mln osób opuściło kraj w latach 1981-1989. Aż 40% wyjeżdżających miało wykształcenie średnie lub wyższe.

kiedy Władysław Gomułka na czele partii zastąpił Edward Gierek. Łatwiej było wówczas o paszport, kraj potrzebował zresztą migrantów stałych i tymczasowych, obie kategorie zapewniały bowiem napływ dewiz do ojczyzny. Silny był wtedy również dolar, więc sporo osób wyjeżdżało za ocean, a nawet do bardziej egzotycznych krajów. Przykładem tego ostatniego zjawiska – mało chlubnym, ale w jakimś stopniu definiującym polską emigrację tamtych czasów – jest Janusz Waluś. Już w połowie lat 70. do RPA wyemigrowali jego ojciec i brat, Janusz dołączył do nich via Wiedeń tuż przed wprowadzeniem stanu wojennego w 1981 r. Co ciekawe, w Austrii trafił do tymczasowego obozu dla polskich uchodźców, co w tamtym okresie było na Zachodzie rozwiązaniem powszechnym – przybyszów z krajów niedemokratycznych wpuszczano bez zastanowienia i pozwalano przynajmniej złożyć wniosek o azyl.

Generalnie, jeśli chodzi o kierunki emigracji, dominowała Europa, zaraz za nią kraje anglosaskie: USA, Kanada, Australia. Zdecydowanym liderem była Republika Federalna

Niemiec, pomiędzy stanem wojennym a Okrągłym Stołem udał się tam prawie co drugi emigrujący Polak (42% według wyników badań dr Małgorzaty Krywult-Albańskiej z Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie).

Stracona dekada

Wyjeżdżali przede wszystkim młodzi. Jak analizuje dr Magdalena Wnuk, około jednej trzeciej emigrantów z lat 80. stanowili ludzie w wieku 25-34 lata, a więc tacy, którzy albo nie mieli jeszcze własnej rodziny, albo dopiero co ją założyli. Nie dziwi też, że aż 40% wszystkich migrujących z Polski stanowili w tym czasie wykwalifikowani pracownicy, czyli osoby z wykształceniem średnim lub wyższym. Takim na Zachodzie

najłatwiej było się odnaleźć, był na nich także największy popyt. Dotyczyło to zarówno wyjazdów stałych, jak i tymczasowych, a ten drenaż mózgow widoczny był zwłaszcza w województwach zachodnich. W historycznych źródłach na temat Solidarności, jak również w relacjach przywódców ruchu, takich jak Józef Pińor czy Zbigniew Bujak, mnóstwo jest opowieści o tym, jak pod koniec lat 80. jeździli oni zwłaszcza do dużych zakładów przemysłowych na Pomorzu Zachodnim, próbując mobilizować robotników do kolejnych strajków. Ci jednak albo nie byli tym zainteresowani, albo zastrzegali, że owszem, w protestach wezmą udział, ale nie mogą one się odbyć w lipcu i sierpniu – mieli już wówczas zakontraktowane miejsca tymczasowej pracy w Hamburgu i innych ośrodkach przemysłowych Niemiec Zachodnich.

Ostatnie 10 lat PRL nazywane jest straconą dekadą. W kraju panował ogromny kryzys gospodarczy, a coraz słabsza władza nie starała się już nawet udawać, że jest w stanie zapewnić Polkom i Polakom godne życie w ojczyźnie – przymykała więc

oko na coraz częstsze wyjazdy bez powrotów. Rodakom na Zachodzie nie było łatwo – istniała wprawdzie całkiem prężna sieć organizacji polonijnych, lecz, co podkreśla dr Wnuk, działały one głównie w największych europejskich stolicach. Lokalne inicjatywy na rzecz polskich migrantów miały natomiast głównie charakter polityczny, wynikały bowiem z poparcia dla Solidarności. Przychylnie do sprawy polskiej podchodziły zwłaszcza związki zawodowe we Francji i Włoszech, Półwysep Apeniński był zresztą jednym z najpopularniejszych kierunków migracyjnych, co odnotowano nawet na łamach paryskiej „Kultury”. Przy czym trudno jednoznacznie odróżnić tych, którzy wyjeżdżali w tamtych latach z powodów ekonomicznych od migrantów ściśle politycznych – również dlatego, że w wielu przypadkach powody te się pokrywały.

Niektórych już poza granicami kraju zastał stan wojenny i zdecydowali się nie wracać, inni otrzymali ultimatum od władz PRL lub zwyczajnie bali się prześladowań i represji. Byli też tacy, którzy w zmianę ustroju po prostu nie wierzyli, w związku z tym emigrację planowali od dawna i była dla nich jedynie kwestią czasu.

Przełom niczego nie zmienił

Aż nastąpił przełom ustrojowy, który jednak w kwestii migracji żadnym przełomem się nie okazał. Jak zauważa socjolog prof. Władysław Masiarz, po 1989 r. zmieniła się właściwie tylko przyczyna migracji. Zanikła zupełnie migracja polityczna, nasiliła się natomiast migracja ekonomiczna. W pierwszych latach III RP nie była ona jeszcze zjawiskiem masowym, ale już po wejściu do Unii Europejskiej zyskała właśnie taki charakter. Według danych przytaczanych przez prof. Andrzeja Chodubskiego z Uniwersytetu Gdańskiego od 1989 r. do momentu akcesji z kraju wyjechało na stałe 250 tys. osób – stosunkowo niewiele w porównaniu chociażby z ostatnią dekadą PRL. Równie ważne było jednak zjawisko braku masowych powrotów, które



Polscy emigranci w obozie Traiskirchen w Austrii, 31 grudnia 1981 r.

po raz kolejny w historii Polski okazały się myśleniem życzeniowym. Podobnie jak w międzywojniu nowa Rzeczpospolita nie była wystarczającym magnesem, by rodaków ściągnąć z powrotem nad Wisłę. Było raczej odwrotnie – znaczenia w statystykach nabrało zjawisko polskich migrantów drugiej generacji, czyli Polaków urodzonych już w innych krajach. Oni też nie chcieli wracać do ojczyzny rodziców, co akurat jest bardziej zrozumiałe z uwagi na prawdopodobne zakorzenienie w innej kulturze, języku, systemie edukacyjnym. Widać to było np. w wynikach Ankiety Migracyjnej – badania przeprowadzonego wśród polskich migrantów krajowych i zagranicznych w 2002 r. przez Główny Urząd Statystyczny. Co prawda, o wyjeździe do innego kraju opowiedziało badaczom wtedy zaledwie 81 tys. osób, ale wśród nich prawie jedna trzecia (30%) przebywała za granicą 15 lat lub dłużej – co znaczy, że albo wywdzili się z rodzin mieszkających poza Polską od dawna, albo sami je tam założyli.

Przez całe lata 90., jak wynika z danych GUS, trendy migracyjne były w miarę stabilne. Dopiero

pod koniec dekady nasiliły się nieco powroty – w tym okresie liczba osób wracających do Polski po tzw. migracji długookresowej, trwającej 8-12 lat lub więcej, zaczęła się zbliżać do 6 tys. obywateli rocznie. Potwierdza to tezę, że osoby, które Polskę opuściły w latach 80., robiły to głównie z powodów finansowych, a nie politycznych. Sama zmiana

W pierwszym pięcioleciu polskiego członkostwa w Unii z Polski wyjechało aż 3 mln osób.

ustroju nie spowodowała, że wrócili. Migracja długookresowa pozwoliła im natomiast na zebranie odpowiedniego kapitału, czekali też na odbicie gospodarcze w kraju po zapaści początku lat 90. i terapii szokowej Balcerowicza.

Otwarta Europa

Potem jednak Polska weszła do Unii Europejskiej i w kwestii migracji zaczęła się całkowicie nowa era. Mogliśmy wyjeżdżać prawie wszędzie w Europie, całkowicie legalnie i bez ograniczeń. Zniknęły problemy

wizowe, zmniejszyła się liczba osób pracujących na czarno. Do tego powstała całkowicie nowa kategoria migrantów – młodzi Polacy wyjeżdżający na studia zagraniczne. Tutaj z pomocą przyszło głównie unijne prawo, zakazujące dyskryminacji obywateli innych państw przez kraje członkowskie na gruncie finansowym. W praktyce oznaczało to,

że wszędzie tam, gdzie studia były płatne, Polacy musieli być traktowani na równi z lokalnymi studentami – co zapewniało niższe czesne i dostęp do pożyczek studenckich czy bezzwrotnych grantów. Różnicę widać było zwłaszcza w Wielkiej Brytanii, gdzie niektóre władze regionalne (w Walii i Szkocji) oferowały możliwość studiowania bez czesnego lub za ułamek wymaganej kwoty.

W ujęciu ogólnospołecznym był to dla Polski exodus – w użyciu tego słowa nie ma przesady. Przy czym jak zawsze – trzeba uważać z dokładnymi liczbami. Jak w 2010 r. ▶

► pisał prof. Chodubski, w pierwszym pięcioleciu polskiego członkostwa w Unii z kraju wyjechało aż 3 mln osób. Co trzeci emigrant kierował się na Wyspy Brytyjskie, 800 tys. wyjechało do Niemiec, 350 tys. do Irlandii, po 100 tys. do Włoch, Holandii i Hiszpanii. Kierunek brytyjski łatwo zrozumieć – w pierwszej dekadzie XXI w. funt kosztował momentami ponad 6 zł, wyjazd zarobkowy opłacał się więc pod każdym względem. W dodatku Polacy stanowili relatywnie dobrze wykwalifikowaną siłę roboczą i nie mieli problemów z językiem, szybko zatem znajdowali pracę. Tylko w pierwszym roku po akcesji wyjechało 800 tys.

Hiszpania i Włochy przyciągnęły sporo polskich lekarzy, podobnie kraje skandynawskie, zwłaszcza Norwegia. Niestety, temat migracji, a zwłaszcza powrotów z innych krajów europejskich, łatwo zmienić w polityczną broń, bo trudno tu jednoznacznie coś zweryfikować. Jak wspomniałem wcześniej, przyczyną chaosu w danych są meldunki – zdecydowana większość Polaków, którzy wyjechali na Zachód po wejściu do Unii, nigdy się nie wymeldowała. Dlatego choć osoby opuszczające kraj trzeba liczyć w milionach bądź setkach tysięcy, w oficjalnych statystykach znaleźć można raczej liczby o rząd wielkości mniejsze.

na stałe, większość mieściła się w tej kategorii tymczasowo. Nie ma jednak wątpliwości, że wyjazd za granicę zmienił ich mentalność, zachęcił do kulturowej otwartości. Nie bez przyczyny popularne na korytarzach brukselskich instytucji jest stwierdzenie, że nic nie przyczyniło się bardziej do utrzymania pokoju w powojennej Europie niż właśnie Erasmus.

W poszukiwaniu szczęścia

Polacy zawsze byli narodem migrującym – są takim zresztą i dzisiaj. W 2020 r. Jacek Frączyk z portalu Business Insider, powołując się na dane Eurostatu, ONZ i Międzynarodowego Funduszu Walutowego, wyliczył, że poza Polską mieszkało wtedy 4,5 mln Polaków, czyli ponad 10% populacji naszej wspólnoty narodowej. W liczbach bezwzględnych to najwięcej w całej Unii Europejskiej, procentowo jesteśmy za Rumunią, Bułgarią, Irlandią, Portugalią i krajami bałtyckimi. Nie zmienia to jednak faktu, że nadal szukamy lepszego życia w innych krajach. Nie mamy już nad sobą brutalnego okupanta, nikt nie grozi nam – przynajmniej na razie – zbombardowaniem domu czy odebraniem suwerenności. Jesteśmy też krajem znacznie bogatszym niż choćby dwie dekady temu. Mimo

Rekordowo ujemny pod względem salda migracyjnego był okres pierwszych rządów Prawa i Sprawiedliwości.

osób, w latach 2005-2007 – kolejne 1,2 mln, czyli mniej więcej tyle samo, ile przez całe lata 80.

Te liczby są ważne, bo powróciły jako temat w bieżącej kampanii wyborczej. Zjednoczona Prawica ponownie postanowiła kolportować niepotwierdzone dane o „2 mln Polaków, którzy wyjechali za rządów Tuska”. Tymczasem rekordowo ujemny pod względem salda migracyjnego był okres pierwszych rządów Prawa i Sprawiedliwości, co szybko udowodnił w mediach społecznościowych dziennikarz portalu Onet Michał Protaziuk.

Jak podaje Danuta Pawłowska z portalu BiqData prowadzonego przez „Gazetę Wyborczą”, saldo migracyjne dla Polski zaczęło przyjmować wartości dodatnie dopiero w 2016 r. Przyczynił się do tego brexit, który spowodował, że część Polaków wróciła z Wysp, także mniej osób – w tym młodych, udających się na studia – zdecydowało się tam wyjechać, właśnie z powodu utraty przywilejów na uczelniach, wynikającej z wyjścia Londynu z Unii.

W 2020 r. poza Polską mieszkało 4,5 mln Polaków, czyli ponad 10% populacji naszej wspólnoty narodowej.

Pokolenie Erasmusa

Motywy wyjazdu z kraju były w większości ekonomiczne, choć zmienił się nieco profil tych, którzy wyjeżdżali. Jedna trzecia migrantów miała mniej niż 40 lat, ale konkretne kierunki przyciągały konkretne specjalizacje zawodowe. Jak wyliczał prof. Chodubski, do Wielkiej Brytanii najwięcej wyjechało kierowców, inżynierów, robotników produkcyjnych, ale też lekarzy, osób pracujących w zawodach pielęgniarstwa, opiekunów seniorów. Niemcy to głównie prace sezonowe, hotelarstwo, gastronomia i remonty, a Irlandia – informatycy, farmaceuci.

Polscy licealiści przeorientowali się na uczelnie kontynentalne, głównie w Holandii, Hiszpanii, Belgii i Niemczech. Osobnym zjawiskiem jest pojawienie się tzw. pokolenia Erasmusa – studentów z krajowych uczelni, którzy uczestniczyli w programach wymian uniwersyteckich i po ich zakończeniu wrócili do Polski, odebrali dyplom i ponownie wyjechali za granicę. Brakuje dokładnych danych co do zasięgu tego zjawiska, ale szacuje się, że w ramach Erasmusa po Europie przemieściło się 200 tys. młodych Polaków i Polek. Nie wszyscy zostali migrantami

to wciąż chcemy znaleźć szczęście gdzieś indziej. Dajemy sobie do tego prawo, uważamy je wręcz za święte i bardzo się denerwujemy, gdy ktoś, kto rządzi w innym kraju, chce nam to prawo odebrać. Pamiętajmy o tej prostej prawdzie, ale także o całym kontekście historycznym, kiedy będziemy znów spierać się o prawa migrantów w Polsce. I przede wszystkim – kiedy będziemy głosować w jesiennych wyborach parlamentarnych.

Mateusz Mazzini
m.mazzini@tygodnikprzeklad.pl